BŁYSKAWICA



WYCHODZI
CO KWARTAŁ
W
ROŻDZIENIU-SZOPIENICACH
ROK IV

1932

ZK EW

Cena 50 gr.

BŁYSKAWICA

Cena 50 gr.

KWARTALNIK UCZENIC i UCZNIÓW KOMUNALNEGO GIMNAZJUM KOED.

W ROŹDZIENIU-SZOPIENICACH.

PRENUMERATA:	Adres Redakcji i Administracji	CENY OGŁOSZEŃ:
roczna . . . zł. 2 —	Rozdzień-Szopienice	cała str. . . zł. 20
półroczna . zł. 1.—	ulica 11 listopada, Gimnazjum	pół str. . . . zł. 10
kwartalna . zł. 0.50		ćwiartka . . zł. 5

Nr. 21. **Rozdzień-Szopienice, marzec — czerwiec 1932 r.** **Rok IV.**

Ostatni akt.

MOTTO: „W jedno ognisko zestrzelmy myśli i ducha."

„Do egzaminu dojrzałości Komisja Egzaminacyjna dopuściła następujące osoby..." do dnia dzisiejszego brzmią mi jeszcze w uszach słowa P. Przewodniczącego. Słowa druzgocące nadzieję, wywołujące wesoły błysk oka, „napadzik" histerji, „delikatne" omdlenie, bladość lub niespodziewany rumienieniec na twarzy.

Słowa, o słowa, brzmiące łagodnie i delikatnie, a przeszywające serca ostrzem miecza, bez najmniejszego drgnienia, bez chwili zawahania.

O słowa bezlitosne, zawsze celne i niespodziewane, tajemne jak noc Hadesu, kto z was nie słyszał ten pojąć nie może, co wy niesiecie i skąd jesteście.

Idźcie tam, gdzie wzrok was nie wyczyta, gdzie ucho nie usłyszy, tam skądeście przyszły, na wieczną pokutę, nędzę i tułaczkę, za ten ból i smutek, za tę radość zwodniczą, jak błędny ognik.

Idźcie, a nie prowadźcie nas więcej przed stół egzaminacyjny, nie róbcie z młodzieży „skazańców" badanych na wszelkie sposoby przez Komisję, jak sędzia bada oskarżonych.

Idźcie precz, o słowa okrutne, zabijające złoty okres naszego życia, okres beztroskiej swobody i wesołości, wypędzające nas w życie, w świat, ze świadectwem, jedynym, listem „poleconym" niezabezpieczającem nikogo przed trudem pokonywania przeciwieństw. walki z fortuną.

Słowa prowadzące do ostatniego nieodwołalnego, skrycie powiedzianego „Bądź zdrów"..., każące opuścić miejsce tylu wspólnie przeżytych „godnie i chmurnie" chwil, ba, nawet lat.

O miejsce, opuszczone chyłkiem z bolesnym uśmiechem na twarzach. Miejsce jednoczące tak mało serc!

Komisjo, z Twej nominacji mortui snut discipuli cl. VIII, anno d. MXMXXXII nati snnt homines mâturi:

1) Bajtlówna Marja
2) Czoppówna Paulina
3) Engelking Witold
4) Franiówna Helena
5) Gruszkówna Bogusł.
6) Kalinowska Marja
7) Kmiotek Felicjan
8) Kosturówna Marja
9) Kotyrba Karol
10) Magrysiówna Jadwiga

11) Maszczykówna M.
12) Musioł Tomasz
13) Orzeszkówna Eliza
14) Placek Ernest
15) Sztorchanówna Leonja
16) Wierzbicki Lesław
17) Zimolążanka Adela

A więc Koleżanki i Koledzy dowidzenia, za dziesięć lat na probostwie u księdza Steuera.

Mówi Brynica.

Błękitnie jest nad światem, a świeża zieloność na świecie. Złoto się leje na błękit i złoto się leje na zieleń od żarnej kuli słonecznej, która ze wschodu na zachód niezmiennym szlakiem pomyka. Wiosna zerwała się wonna i idzie wielkiemi krokami. Nawet gęste kominy kopalń i hut nie przesłoniły jej cieniem, nawet dymy czarne, w powietrzu zawisłe, nie zagasiły jej blasku.

Odwiecznem swojem korytem, w łąki bagienne wtłoczonem, płynie mętna Brynica.

Jednostajny szmer leniwo przelewającej się wody cichy jest i tajemniczy, jak szept człowieka, zwierzającego swe myśli najskrytsze.

Bo ta woda leniwa, wygrzewająca się w słońcu, pochłaniająca jego blask i złoto, mruczy wciąż jakąś kronikę prastarą, którą sześć wieków na niej wypisało. Słów niepochwytnych szuka, słów, — tonów, by uszy pobudzić ciekawie i do słuchania nastroić...

Dziwna zaiste to gędźba na ciemnych zmarszczkach Brynicy!

Dziwna pieśń o granicy, co przez lat sześset tu biegła. Wspomnienia dawnych, króla Kazimierzowych wojów, co tędy przeciw Luksenburgów potędze, ku Bolkowi na Świdnicy bieżały, gdy Piast ku Piastom zbawczą prawicę wyciągał.

A potem — wspomnienia onych Zamojskiego rycerzy, co huczno a buńczuczo z woli pana i króla Zygmunta za rakuszańskim Maksem aż pod Byczynę w pościg szli.

A dalej, w lat już niewiele za tego samego Zygmunta — Lissowskiego hajdamaki stracone naprzeciw braciom z Wrocławia Habsburgom w sukurs mknęli.

Ich także widziała Brynica. Wszyscy konie w jej mętach poili, wszyscy do jednego...

Potem, kiedy Sobieski Wiedniowi odsiecz niósł...

...aż do zwycięzcy z pod Rosbach Fryderyka!

...kiedy Polska w letarg zapadła zimowy w kamienny sen o... jutrze!

Na jednym brzegu w kości zagrały sołdaty, na drugim fajkę zapalił rudy potomek Teutonów.

Aż nagle wicher dziejów dmuchnął w te kości i rozniósł je po świecie, a fajka z ust wrażych wypadła.

Tam, za Brynicą, orły zbudziły się białe.

Oto wypełniło się sześć wieków długich. Powiew wolności przepłynął nad mętną strugą graniczną na brzeg drugi. I niczem senny majak, rozwijała się zmora zielonych mundurów Grenzschutzu.

Ponad mętnemi zmarszczkami staruszki — rzeczułki podali sobie ręce z obu brzegów bracia Polacy!

Krwawe pieczęcie trzech powstań przypieczętowały braterstwo. Przestała być granicą Brynica.

W żarze, słońcem wezbrane przedpołudnie 20 czerwca 1922 r. o obu stronach drewnianego mostu na szopienicko-sosnowieckiej szosie tłumy zebrały się mnogie. Morze głów kołysało się na przyległych błoniach i na torze kolejowym, jak galerji.

Wszyscy trwali jakby w zachwyceniu, w oczekiwaniu wiekopomnej chwili — dziejowego cudu — nad Brynicą.

Z chlebem i solą stali przy moście przywódcy śląskiego ludu: wodzowie plebiscytu i powstań, przyszli włodarze nowego województwa.

Czekali, by ujrzeć swe dzieło spełnione... plon pracy tylu pokoleń, owoc krwi hojnie przelanej...

Dreszcz przenikał ich członki, serca waliły, jak młoty. W oczach kręciły się łzy.

Patrzyli w tuman szary, co się kłębił od strony Sosnowca. I doczekali się...

Naraz ze wszystkich instrumentów, ze wszystkich orkiestr i ze wszystkich piersi gruchnęła pieśń, jakiej śląska ziemia nie słyszała:

— „Jeszcze Polska nie zginęła"!

Po świecie się niosła, w niebo biła, huczała jak ocean.

Łzy strumieniami lały się po twarzach.

— Jezus, Marja! — Wojsko polskie idzie na Śląsk! Cud się już iści widomy!

Szarzeją na rosłych rumakach ułańskie mundury, żółci się las proporców u lanc. Polski generał salutuje szablą powracającą wierną ziemię śląską.

Dudnią kopyta po drewnianym moście. Podnosi się rampa graniczna.

Na polskich żołnierzy deszcz kwiatów się sypie.

— Niech żyje Rzeczpospolita!
— Niech żyje polski Śląsk!
— Niech żyje nasze wojsko! niech żyje generał Szeptycki! — burza okrzyków huczała bez końca.

Generał zatrzymał oddziały, ułani sprezentowali broń, a on zsiadł z konia, przyjął chleb i sól starodawnym obyczajem na znak, iż obejmuje znów utraconą dzielnicę we wieczyste władanie Macierzy.

Skończył się letarg zimowy i sen kamienny o... jutrze!

Jutro stawało się ciałem, szło żywo i słońcem promiennem, poprzez brynicki most na ostrzach polskich szabel i polskich bagnetów niesione.

Ruszają się tłumy tysięczne, na obu brzegach zebrane. Łączą się z wojskiem i płyną dalej upojone poprzez ulice Szopienic, przez Roździeń jeszcze i dalej, aż do Katowic, ku nowej śląskiej stolicy — nieprzytomne ze szczęścia, zachwytem wezbrane...

Bądź pozdrowiona! Brynico!
Iżeś przetrwała sześć wieków i ziemi śląskiej zatracić nie dała!

Iżeś gędzibą wód swych niezmiennie głosiła, że niema przepaści między dwoma twojemi brzegami!

Iżeś mocniej i trwalej niż wszystko skuła kraj jeden, korytem twojem rozdarty!

W dziesiątą rocznicę cudu — bądź pozdrowiona, Brynico!

„ABITURJENT"

Rubin.

dok.

To ocieplenie odbiło się na materjalnym stanie Rubina ujemnie. Ludzie nie zwozili węgla do domów, a więc zmniejszył się jego zarobek, wyżywienie musiało być coraz skąpsze. Minęły pierwsze dni grudnia, ale ciepłota nie ustępowała. Powiększył się jednak ruch handlowy w związku ze zbliżającemi się „godnemi" świętami. Kiedy więc Rubin nie miał zamówień na dostawę węgla, wtedy przewoził paki, beczki, pakunki z okazji do poszczególnych sklepów, zarabiając przy tem, jak dawniej przy węglu.

Ale jednocześnie ze zbliżaniem się świąt ożywiło swą działalność towarzystwo antysemickie „Postęp" wszczynając akcję przeciwko żydom. Jak każdy zamęt, tak i ten, odczuli najpierw najbiedniejsi. Bojkot nie sięgał przecież do hurtowników żydowskich, od których sprowadzali towary kupcy chrześcijańscy, ani tembardziej do fabrykantów, albo kapitalistów. Oni byli spokojni i bezpieczni, z pewnem zadowoleniem patrzyli na ruch skierowany przeciw nim, a jednak nieprzedstawiający ani odrobiny niebezpieczeństwa. Znali się na tem przedewszystkiem i wiedzieli zgóry, że skończy się na niczem. Owszem na rękę im to było. Drobniejsi kupcy, handlarze, rzemieślnicy, pośrednicy, mniejsi dostawcy, słowem cała biedota żydowska garnęła się wtedy do nich „grubych ryb" z wyciągniętemi rękami, z prośbą o ratunek.

Wówczas właśnie, zacieśniły się kleszcze karności, w których „grube ryby" trzymały cały ten tłum i wówczas właśnie utwalały swą władzę nad nim.

Tymczasem „Postęp" działał.

Urządzał odczyty, przeprowadzał agitację wśród ludności, rozklejał jaskrawe plakaty, na których w karykaturalnych postaciach przedstawiał żyda, jako rabina zdziercę, obłudnika, przyczynę polskiej nędzy.

Na szczęście jednak atakowanych, argumenty, które stawiał „Postęp" nie trafiały do przekonania dość ciemnej ludności, a przynajmniej, nie odnosiły pożądanego skutku. Chwycono się tedy innego środka.

Wyśmiewano jawnie tych, którzy wychodzili ze sklepów żydowskich, kpiono i dokuczano im na każdem miejscu. To poskutkowało i jakkolwiok kupcy — Polacy nie stanęli do rywalizacji z żydami, aby ich pobić lepszem prowadzeniem handlu, doskonałą obsługą, różnicą ceny, to jednak na skutek zabiegów, błogosławionego dla nich towarzystwa „Postęp", zdobyli prawie wszystkich chrześcijan — klijentów. Wielkiej masie drobnych kupców żydowskich zagroziło widmo nędzy.

Rubin był tylko jednostką w tej masie. Próżno wyczekiwał pod bramą kopalni na jakiś kwit przez cały dzień, na mrozie, lub słocie. Inne furmanki przejeżdżały i odjeżdżały wyładowane po brzegi, mijające go obojętnie. Stał z boku opuszczony, sam jeden z wrodzoną cierpliwością i uporem. Stał tak przez kilka dni z rzędu.

W jakiś poniedziałek czy wtorek zbliżył się do niego jeden z dawnych kolegów furmanów i zbrutalnym uśmiechem zagadał:

— Tak Rubin, przyszedł na was wszystkich czas. Będziecie musieli uciekać do Palestyny, jeden za drugim. „Do Palestyny"... „do Palestyny", pod Synai najdroższe, wyśpiewane po tysiąckroć w psalmach, po tysiąckroć uwielbione wychwalone. Ach, gdybyż tak mógł wyjechać. Choć raz widzieć święte rzeczy Jerozolimy, napić się wody ze świętej rzeki Jordanu, i swoje spracowane dło-

nie choć raz zanurzyć w Genezaret. Ale to było niemożliwością. Nie uzyskałby bez pieniędzy paszportu na wyjazd, a już niewiadomo skąd miał wziąść pieniędzy na samą podróż. To dla niego — żyda, proletarjusza, przekraczało granicę osiągalności. Chciałby przecież uciec do Palestyny i choćby pod batogiem Arabów harować od rana do nocy.

Już następnego dnia nie stanął pod bramą kopalnianą. Wyruszył pod stację i oczekiwał na jakikolwiek zarobek. Ale tam go uprzedzono. Inni furmani — żydzi mieli już stałych kupców, którym odwozili w miarę potrzeby towary. Znowu więc Rubin stał kilka dni bezskutecznie.

Po tygodniu zaciął się.

Kiedy rano Sara obudziła go, jak zwykle do pracy, obruszył się na nią.

— Nie jadę dzisiaj nigdzie! Daj mi spokój!

— Dlaczego? — zapytała z niepokojem.

— Daj mi spokój, albo jedź sama! — zaklął i odwróciwszy się twarzą do ściany, nie chciał więcej gadać. Przez cały dzień, chodził potem chmurny i posępny. Nazajutrz niespodziewanie chwycił ostry mróz. Przez następne dni wzmagał się jeszcze. Na szybach okiennych pomalował szkliste wzory, na ścianach i murach porozciągał płachty siwizny. Źrenicę zmienił w niełupliwy kamień, okucia i żelazne części w odrywające skórę z rąk powierzchni, rozlewaną przy pompkach wodę w stwardniałą, kopiastą narośl. I trwał. Natura przetrzymała ludzkie zasady. Mróz przygnał do Rubina ludzi, z kwitami na przewóz węgla.

Chwycił się więc skwapliwie za robotę. Znowu mu się los uśmiechnął, znowu miał pracę, zarobek, chleb. Ale troska, która kilka dni temu zasiadła na czole nie zchodziła teraz z niego, lecz bardziej jeszcze ściągała czarne brwi i rzeźbiła na nim coraz głębsze bruzdy. Lada dzień mogła nadejść odwilż, lada dzień mogła z nią wrócić nędza. I choć mróz w dalszym ciągu trzymał ziemię, choć codziennie, poza sylwetką huty i szaremi płaszczyznami dachów czerwienił niebo na zachodzie, choć w nocy firmament skrył się od gwiazd i przy kręgu księżyca pojawiały się świetlne słupy, nieomylny znak zapowiadający ostre mrozy, Rubin nie przestawał się troskać o przyszłość. „Postęp“ w wiercił mu się w mózg, oblepił przestrzeń myśli karykaturalnemi plakatami i wypełnił cały umysł groźnemi dla biednego żyda-proletarjusza hasłami. Tego dnia wracając z rampy z naładowanym wozem, spostrzegł na płocie przy rogu ulicy Stacyjnej nowe, świeżo rozlepione plakaty „Postępu“.

Rycina umieszczona na największym z nich, tym razem nie przedstawiała karykatury żyda, ale jakąś kobiecą postać, z płonącą pochodnią w jednej, a odezwą z czerwonemi literami w drugiej ręce.

Rabin nie wiedział co to miało znaczyć. Wiedział tylko, że treść napewno jest skierowana przeciw żydom, a jak jemu się zdawało, przeciw niemu w szczególności. Gdy dojeżdżał do przejazdu kolejki Huty Bankowej, tak zapatrzył się we wrogi afisz, że nie słyszał przygłuszonego przez turkot i stuk uliczny gwizdu parowoziku, toczącego przed sobą wagony z szmelcem. Kobieca postać na afiszu, trzymała w jednem ręku płonącą pochodnię, a w drugim arkusz z jaskrawemi, czerwonemi literami w tytule: Obywatele, Polacy, Chrześcija... Nagle przewiercił mu uszy przeraźliwy gwizd, ze zgrabiałych rąk wyrwały lejce i rozległ zgrzytliwy trzask na przejeździe. To sunące z żelazem wagony uderzyły w Rubinową furę i zdruzgotały ją na miejscu. Drobny węgiel z szurgiem rozsypał się po torze. Parowozik raptownie zahamował, stuknęły szarpnięte wagony i złoskotem zatrzymały się na miejscu.

Ale wszystko było już zapóźno. Dwa koła tylne i podłużnice leżały

o kilka kroków dalej, z poszarpanemi brzegami, nawskos toru, oderwane od całości. Z drugą przednią częścią szarpał się przestraszony koń, trzymany silną ręką policjanta. Na całej przestrzeni leżał węgiel, mieszając się z czarnoszarą grudą uliczną.

Na miejscu katastrofy momentalnie zebrało się zbiegowisko ludzi rozprawiających o wypadku i objaśniających to rozmaicie. Znalazł się także i policjant, który zciągnąwszy maszynistę i konduktora ładunku, oraz Rubina spisał urzędowy protokół. Proszę podać nazwiska i zawody — wyrzekł zaraz na początku sięgając do protokularza. Podali je wszyscy trzej dokładnie, od imienia do roku i dnia urodzenia.

Konduktor opowiedział potem dokładnie, tak i tak: jechał na przednim wagonie, no a maszynka zaczęła, jak zwykle przed przejazdem gwizdać ostrzegawczo. Tymczasem niespodziewanie nadjechała fura, wskazał ręką na szczątki i zwolna przesuwała się na poprzek. On zrobił wszystko, co do niego należało: gwizdnął jeszcze „ciurczkiem" kolejowym, ale było już zapóźno.—Dlaczego pan nie pospieszył, jeżeli pan słyszał gwizd? — Nie słyszałem odpowiedział Rubin. Wina urzędowo była całkowicie po stronie Rubina i to mu właśnie, odchodząc wyraźnie podkreślił policjant,

Po chwili tłum się rozszedł, maszynka zwolna przejechała w kierunku Huty, a na miejscu katastrofy pozostało tylko — kilku wyrostków, zatrzymujący się niekiedy zdziwieni przechodnie i Rubin. Zgarnął rozsypany węgiel na kupę, z jednej strony jezdni, pozbierał rozerwane części, śmignął na kucyka i spojrzał jeszcze na plakat.

Oczy mu zaszły mgłą, czy łzami, bo nie widział już teraz płomienia płonącej pochodni i niewieściej postaci, a tylko jakieś kłęby dymu, z których wychylała się koścista postać i szła ku niemu z wyciągniętemi rękami. widmo—nędza.

HA-BER.

Od lnu do tkaniny.

Na podstawie danych, zebranych w Średniej-Wsi woj. Lwowskie.

a) Od lnu do nitki.

Kiedy już len na pniu dojrzeje, wyrywa się go, a potem rozściela, aby dobrze wysechł. Po wyschnięciu obija się z niego nasiona na kamieniu. Ukończywszy tę pracę, rozkłada się len już obity z nasion albo na rosę, albo do wody, przytrzymując z lekka kamieniem. Częściej jednak len rosi się, by zmiękł, konopie zaś się moczy. Po kilkunastu dniach zbiera się go, wiążąc go w snopki i suszy na słońcu. Czasem zdarza się, że z powodu niepogody len jest jeszcze mokry, wtedy suszy się go sztucznie, w piecu chlebowym. Kiedy jest już dostatecznie suchy, ociera i trze się go na terlicach (pojedyńczy karb) i międli na międlicach (podwójny karb), a następnie czesze się na żelaznych szczotkach. Tak przygotowane przędziwo nawija się na kreżel i przędzie się, albo na wrzecionie, albo na kołowrotku.

b) Od nitki do tkaniny.

Nici uprzędzione przewija się czyto z wrzeciona czy kołowrotka na tak

zywane motowidło (motowidło są to dwie drewniane listewki połączone jedną dłuższą) i wiąże się po 24 nitek, co tworzy pasmo. 24 pasma wchodzą w skład motką. By zrobić motek nici używa się motowidła, ale z poprzecznemi kawałkami drzewa. Motek zakłada się na wijadła, a z niego przewija się na osnówki. (Osnówki są to duże szpule) Z osnówek zwija się zaś przędziwo na motowidło na osi czyli snowadła. Ta część przędzy ma tworzyć długość płótna—czyli osnowę. Część z pozostałych motków nici, przewija się na mniejsze szpulki, zwane próżniankami, a niemi właśnie ma się przetkać osnowę przędzy. Osnówki, z których zwija się nici na snowadła, zakłada się na specjalne trzymadła, po dwie na każdy pręt. Osnowę zapomocą obracającego się przyrządu, poruszanego ręką nawiją się na wał warstatu tkackiego, a próżnianki napełnione nićmi, zwane cewką wkłada się w czółenko i niem przerzuca się między osnową, której połowa nici (co druga opada na dół, przy pomocy pociśnięcia nogą, by to czółenko. którego nici tworzą wątek czyli poprzeczną długość płótna, mogło swobodnie przeplatać osnowę. — Tak wyrabia się płótno z nitek pojedyńczych, a z podwójnych u nas się nie wyrabia tkaniny.

J. A. Vl.

Mój rekord.

Ogarnięta panującą wszechwładnie w XX wieku rekordomanją postanowiłam bądź co bądź zdobyć jakiś rekord. Zapłonęłam dziką chęcią wybicia się i to nie na polu naukowem, ale w sporcie.

Minęły przecież czasy, kiedy z zapartym oddechem słuchano pięknych wierszy, albo gdy pragnęło się choć raz w życiu ujrzeć znakomitego pisarza, czy poetę.

Dziś mają uznanie: Petkiewicz i Kusociński, wzniecający dreszcze w sercach „kochanych“ sportowców. Na ich powitanie boiska roją się od „szanownych“ gości, a drzewa naokoło aż trzeszczą pod naciskiem najmłodszych miłośników sportu. Warto zresztą ubiegać się o zobaczenie tak niesłychanie ważnych rzeczy, jak n. p. czy „Wisła“ „wbije“ „Cracovii“, albo „Kresowianka“ „Victorii“. Że tam czasem łamie się obojczyki, ręce i nogi — to przecież nic wobec zdobycia pierwszeństwa. Co za rozkosz n.p. przepłynąć kanał La Manche o 20 minut prędzej niż inni. Jaka to fraszka stracić płuca lub zdrowie wobec tych oklasków i uznania we wszystkich pismach świata. A czy najdłuższe siedzenie na drzewie, rekord najmodniejszy obecnie w Ameryce, nie wart poklasku?

Właśnie pewnego pięknego przedpołudnia wibrowała mi w głowie myśl o konieczności zdobycia rekordu. Tak byłam zajęta, że nie zauważyłam kilkunastu rowerzystów, kręcących się w różne strony po szosie: suchych i wielkich jak chmielowe tyki, barczystych i czerwonych, lub zgrabnych i muskularnych w kostjumkach, które czyniły ich podobnymi do pasiastych zebr, żyraf i wstrętnych pełzających salamander.

Wszystko to miało miny odkrywców Ameryki, spojrzenia ogniste i śmiałe. Idąc ze spuszczoną głową natknęłam się na jednego z nich i zmierzyłam go niezbyt przyjaźnie. Dał mi na to wyjaśnienie z iście sportsmeńską gracją i wdziękiem mniejwięcej w tym sensie, że gdy są wyścigi najznakomitszych zawodników wszystkich drużyn kolarskich Zagłębia, wszyscy z jezdni powinni iść sobie do licha.

Aha — pomyślałam — wyścigi! Ogarnęło mnie „wściekłe" zainteresowanie (zapewne pierwszy i ostatni raz w życiu). Z ogromną ciekawością zbliżyłam się do stolika sędziów, gdzie stało kilkanaście zgrabnych, wyćwiczonych kobiet, zawodniczek wyścigu. Każda prawie miała włosy na chłopczycę, ładny kostjum gimnastyczny i wielkie zainteresowanie w oczach, skierowanych na sędziów o czemś głośno rozprawiających.

Dowiedziałam się niechcący, że udział w wyścigu rowerowym może wziąć jeszcze jedna współzawodniczka, Wszystko to wyjątkowo wtedy „szalenie" mi się podobało. Byłam w siódmem niebie! Zażądałam roweru i za pięć minut wyjeżdżałam już z innemi z mety. Zaraz na wstępie usłyszałam parę miłych epitetów n.p.: „stare warjatki" „Baby do garnków" „Piekło by się nie ostało przed temi kobietami" i t. p.

Jakaś staruszka popatrzyła na mnie z tak strasznie smutnym, przejmującym wyrzutem, że wprost poczułam obowiązek przeproszenia jej. Podniosłam jednak hardo głowę, pamiętna na moją ambitną rolę. Wzięłam pęd i już tylko migały mi przed oczyma przydrożne drzewa, o które w każdej chwili można było palnąć głową, przyboczne rowy, pełne zielonawej wody, rojącej się od żab, połyskujące w słońcu i kostjumy współzawodniczek, z ktorych jedna stale mię wyprzedzała. To mnie bardzo zaniepokoiło. Do pierwszej mety niedaleko, a ta stale na przedzie. Serce uderzyło mi jak młotem, gdy zobaczyłam, że pierwsza dojechała do połowy drogi i wraca. Pędzę, nie mogę znieść jej pierwszeństwa.

Oczy wszystkich mierzą nasze zawody szyderczem, jaszczurczem spojrzeniem. Zdaje mi się, że mnie zabiją ironją. Otrząsam się z głębi piesi i zrywam do wysiłku. Rower lata jak szalony po różnych wertepach, a ja pędzę, aż mi zatyka oddech. Przyrzekam sobie, że muszę być pierwsza! Kręcę pedałami, aż całe torpedo wydaje jęki. Tak jeszcze daleko, a tu nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Jeszcze jeden obrót, a czuję że padnę. Albo dojadę i zdobędę rekord, albo zostanę wtyle i nie daruję sobie tego nigdy!

Z gorączką, ze strasznym wysiłkiem, od którego mi oczy krwią zachodzą, usiłuję jeszcze parę razy ruszyć pedałami. Myślę, że mi płuca pękną, żar pali mi twarz i przyprawia o wściekłości. W rękach, napiętych jak struny, pękają mi wprost mięśnie. Przed oczyma majaczy mi meta. Wyobrażam już sobie koniec wyścigów i robi mi się strasznie źle, przykro, wściekle.

Na domiar złego w tej chwili przypominają mi się przycinki kolegów o uprawianiu sportu przez kobiety. Wspominam kilka twarzyczek, wykrzywionych wstrętnem politowaniem i to dodaje mi nagle energji i siły.

Ujmuję z żelazną mocą kierownik, obracam z nadludzką siłą pedały i pędzę, pędzę po śmierć lub po rekord.

Już widzę wyraźnie metę. Tysiące rozgorączkowanych twarzy, wyciągniętych na przeciw mnie — pierwszej!

Dziki, chrapliwy okrzyk rozdziera powietrze, napełnia mnie zrazu rozkosznem zadowoleniem.

Dopędzam! Przejeżdżam metę. Kilka wstrętnych wilgotnych ramion, chwyta mnie i unosi z rowerem wgórę. Zziajane towarzystwo miłośników wyścigów pcha się jak fala, aby mnie podziwiać. Widok tej gorączki ochłodził mnie nie-

mile. Tłum zapchał mnie do sedziów. Myślałam przedtem, że doznam szalonej przyjemności, gdy uznają mój rekord, gdy zobaczę uznanie na wszystkich twarzach.

Podjeżdżam. Zobaczyłam mniejwięcej zadowolone twarze kilku starszych pań. Sędziowie: krępi, czerwoni, niscy i przeważnie łysi uśmiechają się słodko dobrodusznie. Wstrząsnęłam się na widok oczu najstarszego, który mi winszował rekordu i przypinał odznakę. Myślałam, że odczuję przynajmniej wielkie zadowolenie, choćby takie, jak po małej, solidnej pracy nad zadaniem,

Nic! Podziwiałam tylko z niemiłem zdziwieniem sztukę uśmiechów na zawołanie, wypowiadanie bez zająknienia grzecznostek, które tyle razy przedtem słyszałam. Raziła mnie zapamiętała gorączka hołoty, obsiadującej płoty i cierpko uśmiechnięi sędziowie.

Ni stąd ni zowąd roześmiałam się ironicznie, głośno, bo uczułam głupotę mojego rekordu i śmieszność obecnego położenia.

Przyjęłam „życzliwe" spojrzenia współzawodniczek, które przyjechały później, co mnie wprawiło w nieznany dotąd, sarkastyczny humor.

Odchodziłam, pozwalając się podziwiać, krytykować, pokazywać palcami.

Chmara „inteligentnych" twarzyczek gazeciarzy i niedorostków pędzi za mną z pół kilometra. Zdawało mi się, że sama natura kpiła ze mnie, bo słońce paliło niemiłosiernie, szyderczo. Było mi żal i smutno, że nie osiągnęłam tego, czego pragnęłam i tak przykro, że w końcu mojego wyścigu stało nie jakieś ogromne zadowolenie ze szczerego uznania, ale wielkie nic i wstrząs wstrętu, które chciałabym zrzucić i zapomnieć na zawsze te wszystkie spojrzenia i wymuszone słówka i nawet samą myśl, żę mi mogło zależeć na uznaniu tego rodzaju. Nie czułam najmniejszego zadowolenia, litowałam się z ironją nad swoim nędznym rekordem i chciałam tylko o nim zapomnieć.

HANKA KUCHARSKA KL. VII.

A więc rozstanie...

I.

Zachowajcie przynajmniej ten numer „Błyskawicy". To dla was wyszła, może po raz ostatni. Chcę was wszystkich na tem miejscu pożegnać w imieniu pozostałych. Zegnać, bo mi wszystko związane z naszą „budą", dla was skończyła się. Zostaje tylko wspomnienie. A było? Pięknie i dobrze. Bez trosk, chyba z powodu jakiejś czwóry lub nieprzygotowanej lekcji. Tak, te troski były dla was w tym czasie wielkie, ale teraz... Minęło i nie wróci. To smutne. Nie będzie już trzeba głowić się nad tem, czy hr. Henryk był dobrym działaczem społecznym lub umieć „expedite" całość historji, albo biedzić się nad Horacym ,lub ideą równoległości. Nie będzie już tego życia, życia równo tętniących serc. Minęły już czasy poczty klasowej, małych swarów, niby — popierań (maximum 2 lekcje), podpowiadań, koleżeńskiej pomocy wzajemnej. Wszystko za jednym zamachem. Były przedtem plotki ploteczki o terminie matury pisemnej. Przyszedł wreszcie. Był gorący szloch, przynajmniej jednej, co mi jest zupełnie naturalnem przynajmniej dla harmonji w tak rozpaczliwym momencie. A potem 6 tygodni, dla was bardzo krótkich. Ta nerwowa praca i stan gorączkowego oczekiwania odbił się troską na twarzach. A później dzień 7 czerwca godz. 8—10½. Punk kulminacyjny. Odczytanie

wyników] Przyspieszone radosne oddechy, a później aula, stół, tablica, pytania, odpowiedzi, niekiedy niepewność. Wszystko minęło tak prędko. Homines maturi. Pierwsza radość, gratulacje znajomych, zadowolenie rodziców, wspólna ostatnia zabawa, rozdanie świadectw dojrzałości, to jeszcze przyjemne momenty historycznej dla nas chwili

II.

Teraz przychodzi życie. Może wnet dla niektórych, może później dla innych. Ale przyjdzie ten moment walki cięższej lub lżejszej z niewiadomą życia. Postarajcie się podstawić pod wiadomą znane wiadome wam wartości. własne możliwości, własną moc. Tworzenie własnego świata i życia jest trudnem. A gdy wam nieraz opadną siły, wspomnijcie gmach szkolny z jego i waszem życiem, a może rozweselicie się i nabierzecie wiary w siebie.

III.

W tej drodze imieniem wszystkich, szczere i z serca „Szczęść Boże". A gdy po dziesięciu latach się spotkacie znów wszyscy razem to wspomnjcie tych, co po waszem odejściu zostali.

Bądźcie szczęśliwi i wspomnijcie nas!

„JUNIOR"

Uwagi nad krytyką „Esa".

Myśli zawarte w wierszu „Co Es myśli" wymagają conajmniej skrajnej krytyki, chociaż same mają nią być. Uważam, że autor nie dorósł wiekiem i umysłem, by mógł zrozumieć sam wiersz, a w nim zawarte myśli, dlatego też sąd swój można powiedzieć wyraził dość niezręcznie i naiwnie, bo klasa szósta chociażby ze względów czysto estetycznych, nie powinna tak gruboskórnie i złośliwie wyrażać się o autorce z kl. VIII. — Krytyk niezdawał sobie sprawy co właściwie pisał. bo chociaż wiersz nieposiada rymu lub rytmu, to przecież może mieć inne doniosłe wartości, dość przytoczyć... „Improwizację" względnie „Odprawę posłów greckich". Wnioskuję, że autor „Myśli" nie czytał Mickiewicza i innych, azali umysł jego jeszcze jest niezdolny i zbyt mało subtelny by móc z harmonizować te różnice.

Czytając „Myśli" sam nie wiem i nie mogę zrozumieć o co właściwie chodziło krytykowi, czy to przypadkiem nie była jakaś zgryźliwa uwaga czy też własna antypatja wywołana odrzuceniem afektów zwracanych ku autorce??? a wyrażona tylko w rymie „kalwaryjskim"!! że wiersz „W jesienną noc" jest bez rytmu z ostatecznym zastrzeżeniem zgodzić się mogę, lecz cokolega właściwie chciał wyrazić w wierszu bez „sensu i bez treści", chyba tylko swoje ubóstwo umysłu, którem nie powinien udzielać się na forum publicum. Wiersz kolegi jeżeli chodzi o ścisłość jest bez treści, gdzie tam jest ta ścisła logika, kolega kierował się tylko podmuchem chwili i dawał upust swym uczuciom, które do koleżanki powinny być wyrażone bardziej delikatnie i ściśle.

Powiedzenie „bez treści i bez sensu" zakrawa szersze pojęcie czytelnika i zdaje się że kolega pozbawiony słuchu muzykalnego jeśli się uskarża na jakoweś „tonacje, śpiące melodje, wiatr dzwoni rapsodje, melodykan stary i jeśli ich nie rozumie proszę się zwrócić do mnie chętnie służę radą. Lecz powinien był to wcześniej uczynić i nie ujmować swych naiwnych „Myśli" w karby wiersza „częstochowskiego", bo metafory czy alegaje wchodzą w program klasy V-ej, więc z tego względu kolega i jako uczeń kl. VI-ej nie powinien być przedmiotem godnym śmiechu, litości i pożałowania.

Czy oda według kolegi musi być potętną z „Dodą???

Samo zakończenie autora „Myśli“ jest dość nieudałe, zaprzecza on swym własnym docinkom, które właściwie są niesmacznym dowcipem, gdyż łączenie ponętności autora z wierszem uważam jest rzeczą czysto osobistą, w którą żaden z nas wnikać niepowinien. Radzę na przyszłość wyrażać swoje myśli cośkolwiek oględniej, gdyż napisać krytykę jest dość trudno (a tembardziej wierszem), a kolegi nie daje nic więcej, prócz „częstochowskiego“ rymu. Niechaj kolega zostawi to czasowi, on sam to zrobi, że autor „Myśli“ w nim zmądrzeje i zrozumie, co znaczą: „pożółkłe klawisze, śpiące melodje“ i wreszcie samą swoją krytykę!...

„OBSERWATOR“

Z działalności Kółka Krajoznawczego.

Kółko Krajoznawcze przy naszem Gimnazjum zostało założone w grudniu 1930 r. Opieki nad niem podjął się p. dr. Gołba. Przy współudziale i dobrych chęciach młodzieży praca w pierwszym roku postępowała dość szybko, w następnym roku jeszcze się wzmogła. Zgłoszono więcej referatów, które zasadniczo można podzielić na krajoznawcze i krajoznawczo-historyczne.

Do pierwszej grupy zaliczymy referaty: Dąbrowa Górnicza, Okolice Zagłębia Moskwa.

Do drugiej: Sosnowiec, Brzezinka, Kaukaz, Mysłowice i t. p.

Prenumerujemy pisma „Orli Lot“, „Ziemia“. Należymy do Ligi Ochrony Przyrody. Zbieramy nazwy miejscowości dla „Słownika Geograficznego“.

Ponieważ Kółko nie jest zasobne w fundusze, nie mogło odbyć dalszych samodzielnych wycieczek. Z bliższych odbyto: na kopalnię Kleofas w listopadzie 1931 r., do fabryki Alborilu w styczniu 1932 r., do Muzeum Sląskiego w lutym, do Muzeum Dąbrowskiego w marcu. Z dalszych wraz ze szkołą: w listopadzie 1931 r. do Krakowa, w czerwcu 1932 r. do Zakopanego.

Niedokonanie kilku zamierzonych wycieczek możemy przypisać obecnemu kryzysowi. Spodziewamy się jednak, że wraz ze zmianą praca Kółka postąpi naprzód.

Odpowiedzi Redakcji.

J. Ślesińskiemu:

Dla prac Sz. kol. Redakcja zakupiła odpowiednich rozmiarów „koszredakcyjny" ponieważ utwory zupełnie nienadają się do ukazania ich naszy czytelnikom.

Kol. „Es" — zastosuje się do powyżej umieszczonych rad w „krytyce" i nazwisko „Doda" — pozostawi w wiecznym spokoju, gdyż ona położyła więcej zasług na polu rozwoju „Błyskawicy niż kolega!!!

Za ofiarowanie 5 zł. przez panią Szternfeldową na nakład „Błyskawicy" Redakcja składa serdeczne podziękowanie.

Komitet Redakc.: H. Kucharska, H. Berentówna, Z. Kowalik. Dyr. wyd. K. Cieplak.
Wydawcy: uczenice i uczniowie Kom. Gimn. Koed. w Roździeniu Szopienicach.
Redaktor odpowiedzialny i opiekun dr. Kazimierz Gołba.
Druk. „NAKŁADOWA" Będzin, Kościuszki 20, telefon Sosnowiec 12-08.


Alboril
PIERZE NAJLEPIEJ!
Alboril
samodziałający
środek do prania
pod gwarancją wolny
zawiera
50%
P. STRAHL i S-ka